

W małym miasteczku

Marek Grechuta

W małym miasteczku żyją święci
z drewna kozikiem tak wycięci,
że im po brodach cieką jeszcze
pachnące mirrą niebios deszcze.

Chodzą w kozuchach, ale boso
i na łabędzich dłoniach niosą
jeszcze gorące bochny chleba
i na wrzecionach płótno nieba.

Widzą ich tylko wielkie zbóje
i pies co z łapy ból zlizuje
i jeszcze ślepiec berłem kija
pokorny pokłon im wybija.

Ale już wieść na rynku ściele
siano i sutych kolęd biel
i zamówione jest wesele
i utoczony w beczkach chmiel.

A święci idą procesyją,
a ludzie światło z rąk ich piją,
a święci wiodą gwiazdę pól,
a ludzie niosą chleb i sól.

Za miastem białe bębny warczą
i księżyc jest płonąca tarczą
w rękach Łazarza, co z daleka
idzie jak obłok i jak rzeka.

Przystaje, ręką zgarnia z czoła
słomę i gnój i słony ił
i taki ogrom psalmów woła,
jakby najgłębszy smutek pił.

A święci klęczą, klęczy gmin,
obłok ofiarny beczy w trawie,
a z głębi nocy Boży Syn
idzie i wiedzie niebios pawie.

I coraz głośniej bębny biją
i zda się śniegi zmartwychwstaną,
aby przyklęknąć na kolano
przed obnażoną niebios szyją.

A przed Chrystusem święci niosą
cieniste siano, zorzę bosą,
a przed świętymi światło snu
ściele roztropna cisza mchu.

A przed wszystkimi Łazarz pałą
otwiera beczki gór – i lud,
siwego smutku pijąc chłód,
myśli, że upił się gorzałąką.

Na rynku w dzieżach ciasto rośnie,
mięsiwo skwierczy coraz głośniej,

leje się wino, kipi miód,
jakby winograd z ogniem splótł.

I pomieszani z gminem święci
siedzą i piją wespółobjęci,
a Chrystus płacze i przeklina
chleb i rozlaną kroplę wina.

I wstaje Łazarz spośród gości
i biorąc krzyż z Chrystusa rąk,
znowu wydaje go ciemności.